Nr. 46. Lwów, 12. listopada 1899. Rok XVI.

NIEDZIELA

PISMO TYGODNIOWE.

Nakładem „Macierzy polskiej".

PRZEDPŁATA WYNOSI
W cesarstwie austryackiem:
Rocznie . . . 2 złr. Półrocznie . . . 1 złr.
Za granicą:
Rocznie . . 6 mrk. Półrocznie . . 3 mrk.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA
we Lwowie, Gmach sejmowy. Biuro Macierzy polskiej.
Rękopisów Redakcya nie zwraca. — Reklamacye nieopieczętowane wolne są od opłaty pocztowej. — Po ośmiu dniach nie uwzględnia się reklamacyi.
Ogłoszenia oblicza się po 10 kr. za wiersz drobnym drukiem.

Prenumeratę i wszelką korespondencyę nadsyłać pod adresem: **Biuro „Macierzy polskiej", Lwów, Gmach sejmowy.**

Rolnictwo w Holandji.

Jeżeli, czytelniku, wyrzekasz, że posiadasz grunta, które ci wartki prąd rzeki co roku po trochu obrywa i unosi gdzieś w świat daleki; jeżeli wyrzekasz, że urodzajną twą rolę zanosi ci piasek rzeczny; albo znów jeżeli gdzieindziej nizinne twoje porzecza nic nie wydają, jeno lichą wiklinę; lub gdy posiadasz przepaściste moczary i płaczesz, że w mokre zwłaszcza lata nawet trawy z nich nie masz dla bydła, — to jedź do Holandji, kraju leżącego na północ od Belgji. Gdy zobaczysz ten kraj, z natury nizinny, składający się z nieprzebytych błot torfowych, poprzerzynanych mnóstwem rzek, a przekonasz się, że z niewdzięcznych tych przestrzeni potrafili ludzie wypracować glebę, która chleb rodzi, — wówczas się zawstydzisz; „nie narzekać mi — powiesz wtedy — ale dziękować Bogu, że ta moja święta ziemia, to bogactwo na dłoni leżące, jeno z niego korzystać nie potrafię".

Jeszcześmy dalecy od tego, żeby pracą swą umiejętną, a solidarnością w gromadzie, bogactwa owe na wierzch wydobywać.

Przyjrzyjmyż się owej Holandji.

Od krajów niemieckich ku morzu Północnemu, spuszcza się coraz niżej a niżej wielka płaszczyzna, poprzerzynana gęsto rzekami lub ich odnogami, usiana jeziorami, pełna mokradeł trzęsących się, pełna torfowisk, które, jak tu powiadają, „rosną i żyją", bo wciąż to się unoszą, to opadają; płaszczyzna ta — to Holandja, zwana też Niderlandją, czyli „ziemią nizinną".

Starodawne dzieje głoszą, że kiedy Rzymianom wypadło przebywać ten kraj, to kilkomilową przestrzeń Holandji musieli usłać dębowemi deskami i po nich dopiero przechodzili; inaczej gąbczaste, trzęsące się torfy pochłonęłyby ich do jednego. Resztki tego właśnie mostu do dziś leżą na 3 łokcie pod powierzchnią moczarów, a kraj cały co do natury swej

zmienił się tylko o tyle, o ile go ręka pracowitego Holandczyka zamieniła na urodzajne niwy.

Cała Holandją — to nizina torfowa. Gdzieniegdzie tylko „spotyka się pewne wzgórza, a pokłady torfu są położone w jednych miejscach wyżej, w innych niżej, skąd też nazwa „wyżynnych“ i „nizinnych“ torfów pochodzi. Rozumie się, natura jednych i drugich stron jest różną do pewnego stopnia, a ludność, jak dawniej, tak i dziś, w odmienny sposob zastosowywa na nich swą pracę. Najpierw więc owe wyżynne torfowiska zużytkowała w ten sposób, że czekała letnich posuch, a gdy nadeszły, zapalała je, wypalała wierzchnią warstwę, a na popiele siała grykę lub coś innego. Później Holendrzy nie czekali, aż im posucha umożliwi wypalanie torfowisk; ułatwiali sobie tę czynność: kopali głębokie rowy, ściągali do nich wodę, a gdy przy lada pogodzie torfy wyschły, zapalali je, wypalali na 4 do 5 cali i obsiewali najpierw przez sześć lat gryką, a potem owsem, żytem, które zbierali w bardzo ograniczonej ilości. A co przy tem miewali niewygód, gdy gryzący dym z palonych torfowisk rozchodził się po całej okolicy, wciskał się do domów, oczy wyżerał, płuca marnował. Dym ten wiatry roznosiły niekiedy bardzo daleko. W roku 1657 tumanem zaniesione zostały aż do Wiednia i Krakowa, jeszcze w roku 1863, jak chmury złowrogie, unosiły się one nad Genewą w Szwajcaryi.

W innych okolicach, zwłaszcza położonych bliżej morza Północnego, zalegają Holandję przestrzenie torfów nizinnych. Tu to właśnie znajduje się owa „żywa ziemia“, która się podnosi, gdy z rzek rozleją się wody, opuszcza się w posuchy, a zawsze trzęsie się pod nogami tak, że ludzie za pomocą długich kijów przeskakują z kępy na kępę.

Dawnemi czasy, — jak mówią Holandczycy — całe obszary ziemi zmieniały tu swoje miejsca. W roku 1509 spostrzeżono na zatoce morskiej pływającą łąkę, na której pasło się kilka krów. Ową łąkę podmyła woda, a wiatr zapędził ją z jednego końca zatoki na drugi.

Pudełko czarodziejskie.

— A toż to chyba Boże nasłanie!
Zamiast polepszać byt z laty,
Człek się kłopocze wciąż niesłychanie,
A tu wciąż straty i straty!...
To krówka padnie, to owca zginie,
To siano zgnije na łące;
Jeden bez szkody miesiąc nie minie,
A codzień zmartwień tysiące.
Póki żył jeszcze mąż mój poczciwy,
Wszystko szło w domu, jak z płatka;
A teraz, niby na jawie dziwy,
Psuje się nawet czeladka.
Co dalej będzie?... ja tracę głowę,
Myśl mnie owładła bezbożna...
Taką raz z sobą wiodła rozmowę
Marta, gosposia zamożna.
Wiem, wiem (dodała), to chyba czary,
Nic tu po zwykłym rozumie.
Lecz za wsią mieszka pustelnik stary,
Co to zamawiać je umie...
I za tą myślą wraz idąc w ślady,
Z słoneczka rannego brzaskiem
Poszła zasięgnąć starego rady,
Co mieszkał w puszczy za laskiem.
Właśnie chałupka stała otwarta,
Starzec pożywał śniadanie;
Rozśmiał się tylko, gdy pani Marta
Swe wynurzyła żądanie:
Bieluchną głowę skłonił w milczeniu.
— Znam ja, rzekł, wprawdzie nie wiele,
Ale ci chętnie w twojem zmartwieniu,
Córko, pomocy udzielę.
Tu się głęboko zamyślił,
Przewracał zioła i szkiełka,
Wziął jakiś papier, coś na nim kreślił,

Włościanie miejscowi podobne pływające łąki chwytali, krajali na pasy, wprowadzali do miejsc zacisznych, a potem robili z nich nasypy w miejscach bardziej nizinnych, podnosząc tym sposobem powierzchnię ubogiej swej roli.

O ile wierzchnie pokłady całej Holandji stanowią torfy, o tyle znów nad brzegami morza zalegają piasczyste nasypy, przez toż morze naniesione, zwane diunami. Ale i pod diunami, jak również gdzieindziej pod pokładami gliny, w podgruncie leżą torfy. Dno morskie, dna jezior wszystkie stanowią pokłady torfu. W niektórych miejscach brzegi morskie są płytkie, więc woda z nich wciąż je obmywa, opłukuje i nasiąka swoją zawartością. Był czas, kiedy z tego korzystali nadmorscy mieszkańcy Holandji; spalali oni takie pokłady torfu, ażeby z nich wydobywać sól. Przemysł ten ustał dopiero w ostatnich czasach, kiedy zdobywana tym sposobem sól nie mogła współzawodniczyć z solą przywożoną z Francyi lub Hiszpanii.

Łatwo przyjść do wniosku, że prowadzenie gospodarki rolnej na takich gruntach, jakie posiada Holandja, to trudność nie lada. A jeżeli jeszcze zdaje się ona być możliwą na torfowiskach wyżynnych; jeżeli sobie wyobrazimy, że można ją prowadzić na torfach nizinnych, owych trzęsawiskach ruchomych, to zdawałoby się, że w okolicach nadmorskich, wciąż zalewanych przez wody, już żaden, najcierpliwszy i najpracowitszy nawet człowiek, nic nie zdoła zrobić. Bo ileż to razy fale morskie wdzierały się tu do siedzib ludzkich. W roku 839 straszliwa burza zalała ogromną przestrzeń nadmorską i zniszczyła 2.500 zagród włościańskich. W 20 lat potem nastąpił wylew rzeki Renu i ten spustoszył całą okolicę, uczyniwszy ją niezdolną do uprawy przez lat kilka. W r. 1170 wody morskie zniosły jeden duży półwysep, a w sto lat później zalały one tysiące kilom. kwadratowych okolicy pewnego jeziora, uczyniwszy z tego lądu dzisiejszą zatokę Zujdersee, czyli „morze południowe“. Bywały całe szeregi lat, w ciągu których fale morskie przez zalewanie lądu wchła-

---

Potem w głąb zawarł pudełka.
I znowu powstał, zażył tabaki,
W nieznanej szeptał coś mowie,
Kreślił w powietrzu koła i znaki
I oddał pudełko wdowie.
— Jeśli chcesz skutku, córko kochana,
Rzekł jej, nic nie mów nikomu,
Tylko pudełko wieczór i zrana,
Obnoś po całym twym domu.
Zajdź do spiżarni, stajni, obory,
Chodź po podwórka przestrzeni,
A sama ujrzysz, że od tej pory
Wszystko na dobre się zmieni.
Ale pamiętaj, byś za pół roku,
Doznawszy losów przemiany,
Po takim rzeczy pomyślnym toku,
Zwróciła dar dziś zabrany.
Marta szczęśliwa pudełko chwyta,
Uradowana prawdziwie,
Raz jeszcze starca o sposób pyta,
Potem powraca skwapliwie.
Nazajutrz rano, jak radził stary,
Gdy mniej ją widzieć zwyczajni,
Zabiera z sobą kosztowne czary
I prosto idzie do stajni.
I tam w tak wczesnej spostrzega dobie,
Nieuważana wśród mroku,
Jak jeden z ludzi, stojąc przy żłobie,
Ujmował koniom obroku.
A nieco później w tym samym ranku,
Idąc ku swojej oborze,
Ujrzała dziewkę, co z mlekiem w dzbanku
Gdzieś się chowała na dworze.
Gdy do piwnicy weszła wieczorem,
Wnet nowe spostrzegła dziwo:
Drzwi tam bez klucza stały otworem,
A fornal toczył w dzban piwo.
Tak z swem pudełkiem chodząc codziennie

niały w swoje odmęty setki tysięcy ludzi, domostw i zwierząt; ginęły całe miasta. Nawet już w bieżącem stuleciu, bo w 1825 roku, 40 najbogatszych wsi, 10 tysięcy krów, sto tysięcy owiec, zatopiły fale moskie, wtargnąwszy na ląd półwyspu holenderskiego. A dzieje się to dlatego właśnie, iż wybrzeża Holandji są bardzo niskie.

Zdawałoby się, że w kraju, tak niewdzięczną posiadającym glebę, ludność cała żyje w biedzie i nędzy. Do podobnego zaś przekonania moglibyśmy przyjść tembardziej, że na 4 i pół miljonów mieszkańców jest tam blisko dwa miljony gospodarzy, posiadających owych pokładów torfowych lub piasków najwyżej po dwa morgi.

W kraju naszym, w niektórych stronach również są duże przestrzenie moczar. Łącznie z piasczystymi gruntami mają tu gospodarze po 20 do 30 morgów i biedę klepią, mówiąc: a cóż można z takiego gruntu wydobyć? ani to da plon zboża, ani wyżywi porządną krowę, lub konia!

Powtarzamy: nasz gospodarz po uszy zaczerwieniłby się ze wstydu, gdyby zobaczył, co z owych swoich moczarów zrobili już do dziś Holandczycy. Zawstydziłby się, że on, mając tu o wiele lepszą z natury glebę, jednakże pozwala jej kwaśnieć i lichą trawę, oraz liche zboże rodzić, że wreszcie, gdy u Holandczyków kwitnie dostatek, on często i kawałka czarnego chleba nie ma, a dzieci swe posyła za granicę, żeby pracowały na Prusaków.

Zobaczmy teraz, jak gospodarują Holendrzy na swoich gruntach.

Mając wielki dar zapewnienia sobie spokojnego żywota na swojej ziemi, potrafili Holandczycy wypowiedzieć zaciętą wojnę pełnej kaprysów oraz złowrogich przymiotów naturze swojego kraju. Przy wytrwałej więc cierpliwości, przy ciągłej a dokładnie z góry uplanowanej pracy, zdołali oni ujarzmić tę naturę, a tym sposobem kraj swój i droższym, i bardziej umiłowanym, i większy zapewniającym dobrobyt uczynić.

Rolnictwo Holandji z natury jej grun-

Przez sady, obory, pola,
Ujrzała wkrótce, jak się odmiennie
Wieść zaczynała jej dola.
Dość, że w pół roku znów szło jak z płatka:
Zbiór się pomnażał bogaty,
Pod czujnem pani okiem czeladka
Nie przyczyniała już straty,
Lecz pani Marta wspomniała sobie
Z uczuciem wewnętrznej trwogi,
Że już potrzeba było w tej dobie
Zwrócić starcowi dar drogi.
I znów, nie mówiąc o tem nikomu,
Rano zerwawszy się z łóżka,
Z drogiem pudełkiem wybiegła z domu
Do poczciwego staruszka.
Z uśmiechem Martę w progu powitał
Dowcipny poczciwy stary,
I zaraz się jej ciekawie spytał,
Jak się powiodły jej czary.

— Ach! ojcze, tyś mnie z biedy wybawił;
Przez drobne to bawidełko
Cały się dom mój dziwnie poprawił.
Zostaw mi, proszę, pudełko.
Tak prawie ze łzą Marta błagała,
Lecz na jej słowa pochlebne
Rzekł: — Jużeś córko szczęście zyskała,
I czary me niepotrzebne,
Bo niemasz czarów na Bożym świecie,
Dłoń Jego tylko nas wspiera...
A chcesz dowodu, spojrzyj me dziecię,
Co to pudełko zawiera.
Tu je otworzył, karteczkę schwytał,
Wiedząc, że ją to nauczy,
Wobec zdumionej wdowy przeczytał:
Oko pańskie konia tuczy.

tów dwóch głównie miało wrogów: murszowatość wierzchnich pokładów gleby, przesiąkniętych zbytkiem wody, oraz zalewanie pól przez wody rzeczne i morskie. Tym dwom, zda się, niepokonanym wrogom rolnictwa, od wieków stawili Holandczycy czoło i dokonali, czego chcieli.

Przedewszystkiem co do pokładów torfowych, te początkowo, jak już wiemy, czynili Holandczycy rodzajnemi przez spalanie wierzchniej warstwy. Wkrótce jednak opatrzyli się, że ten sposób uprawy jest barbarzyńskim, gdyż nie zapewniał urodzajności na dłuższe lata, a w dodatku dla jedno lub parorocznych plonów niszczono całe pokłady torfu, który, jak się potem przekonano, stanowił wielką wartość dla przemysłu. Już więc w wieku XVI. wpadli Holandczycy na myśl, ażeby murszowate grunta czynić urodzajnemi, ale jednocześnie, żeby nie marnować tego, co ma cenę, a mianowicie torfu. W tym więc celu poczęto tu kopać w najniżej położonych miejscach już nie rowy, ale głębokie kanały, przyczem prowadzono takowe do rzek; do kanałów tych zaś przekopywano mnóstwo rowów, które przecinały torfowiska w różnych kierunkach, a zawsze ściągały wodę i odprowadzały ją daleko, osuszając tym sposobem mursze. A co robiono z temi murszami? Oto wydobywano z nich torf, a odkryty w ten sposób grunt, mieszali z nawozami i z mułem kanałów, rowów i rzek.

Gdzieniegdzie znów, wydobyty z rowów lub kanałów torf rozwożono taczkami po deskach, a splantowawszy go równo na powierzchni, przykrywano ją następnie wydobytym z podłoża rowów piaskiem. A tak najpierw podnoszono powierzchnię gruntu, przez co stawała się bardziej zabezpieczoną od zaskórnej wody, następnie zaś nawożono ją na kilka cali piaskiem, co razem dawało zdumiewająco obfite plony zasiewów.

Owe kanały nietylko osuszały grunta przyległe, lecz stawały się one spławnemi drogami i po nich to właśnie z odległych nawet stron, na przykład z nad morza, gdzie w diunach były wielkie pokłady piasków, zwożono i ten piasek i glinę i muł rzeczny. I odwrotnie: do rzek i do morza kanałami temi odwozili i odwożą dziś Holandczycy wyrobiony na najbardziej udoskonalonych maszynach torf. Na te drogi wodne zwracali Holandczycy szczególną uwagę, starali się też i starają o to, żeby niemi dzielić swoje pola w prawidłowe kwadraty, do którychby ze wszystkich stron mieli łatwy dostęp.

W tych miejscach, gdzie powierzchnię gruntu torfowego dało się podnieść, Holandczycy to czynili. Ale nie zawsze można to było robić. Czasami trzeba było przeprowadzić kanał, obłożyć go wysokiemi groblami i tamami i sprowadzić do niego wodę, aby sobie poszła do morza lub do rzeki. To też w bardzo wielu miejscowościach Holandji orne pola po jednej stronie kanału lub tamy są położone niżej, aniżeli po drugiej, a obok stojące wiatraki wskazują, że siłą wiatru wypompowywano tu wodę z mokradeł i odprowadzono ją dalej kanałami, mającymi odpowiednie spady.

Po przeczytaniu powyższego, spojrzawszy na te mokradła, jakie po kraju naszym do dziś zalegają całe obszary, powiesz sobie, czytelniku: zuchy ci Holenderczycy! A oni odpowiedzieliby ci: ej, bratku, to fraszka suszyć mursze i torfowiska i czynić je chlebodajnemi polami; my i innej sztuki potrafiliśmy dokonać. — I istotnie dokazali.

Wiedzą już czytelnicy, że z zachodu oblewa Holandję morze i że wrzyna się ono w nizinny ląd tego kraju wieloma mniejszemi lub większemi zatokami. A wiedzą też czytelnicy, że to morze nieraz falami swemi zalewało wielkie obszary brzegów, niszcząc wszystko, co po drodze natrafiło — nieraz tysiące zalu-

dnionych i zagospodarowanych wiosek. Otóż żeby się zabezpieczyć od podobnych klęsk, Holandczycy oddawna już wiążą się w wielkie spółki, do których należą i bogaci i biedni, i tak wspólnemi siłami sypią oni olbrzymie tamy, które powstrzymują fale morskie lub fale rozlewających się rzek. Owe tamy ciągną się nieraz na setki kilom., a budowane są bardzo mocno, i, jak u nas, z faszyny oraz z kamieni, przywożonych tu aż z Norwegji. Tak więc, gdy z jednej strony podobnej tamy pływają okręty, z drugiej — spokojnie, bez strachu, który miewał dawniej, pracuje na swej roli gospodarz.

Niedosyć i tego. Brzegi Holandji miejscami są tak grząskie, że nawet ptak usiąść na nich nie jest w stanie, tembardziej, że woda zalewa je podczas każdego dopływu morza. Otóż pracowity Holandczyk postanowił sobie i te błota przerobić na urodzajne łany; wyciągnął więc daleko w brzeg morski długie tamy, objął niemi, jak kleszczami, owe grząskie błota, które też po pewnym czasie, nie mając ciągłego dopływu wody, obsychają. Resztę pozostałej tu wody znowu wypompowywuje wiatrakami za tamę, aż w końcu na owych wydartych morzu przestrzeniach zabiera się do uprawy rozmaitych roślin. W roku 1850 podobnych wiatraków było w Holandji 9 tysięcy, dziś zaś do tego celu używane bywają pompy parowe, które w miarę potrzeby zawsze osuszają pola. Jedna taka pompa służy nieraz do osuszania kilkuset tysięcy morgów.

W takiem wydzieraniu morzu obszarów lądowych dochodzą już Holandczycy do tego, iż obecnie powzięli zamiar osuszenia zatoki Zujdersee. Mówiliśmy już, że w wieku XIII. wody morskie zalały tu tysiące mil kwadratowych lądu i zamieniły go na zatokę. Otóż teraz to właśnie inżynierowie holenderscy postanowili znaczną część dna tej zatoki odebrać morzu i obrócić go na urodzajne niwy. Obliczono, że koszta olbrzymiego tego przedsięwzięcia wyniosą po tysiąc franków na morg, a więc tyle akurat, ile dziś kosztuje morg uprawnej ziemi. Ale za to zdobędą oni zupełnie nowe grunta. Wielka też to chwała dla Holandczyków, że pracą swą i nakładem potrafią zdobywać takie, zupełnie nowe obszary ziemi, które dotąd były siedliskiem wody, a w niej rozmaitych, stosunkowo bardzo mało pożytecznych tworów.

Obliczono, że dzięki gorliwej pracy Holandczyków, w kraju tym codziennie przybywa po 5 morgów ziemi ornej; tyle jej tam ciągła, wytrwała, a umiejętna praca przerabia z torfowisk, mokradeł, błot nadmorskich i jezior obszernych, które także nieustannie są ściskane i zwężane groblami. Już w roku 1875 obrachowano, że licząc po 375 zł. morg, jedynie wytrwałą pracą we własnym kraju zdobyli Holandczycy z górą za milion zł. ziemi ornej, doskonałe wydającej dziś plony. To też, jeżeli każdy mówi, że ojczysta ziemia jest mu drogą, bo przesiąkł ją pot ojców — to tembardziej mogą to o sobie powiedzieć Holandczycy.

Oni to sobie mogą powiedzieć, a nam, którzy jesteśmy bezwątpienia w lepszych niż oni naturalnych warunkach, brać z nich przykład, że oświatą i pracą najgorsze nawet mokradła można zamienić na urodzajne grunta lub na doskonałe pastwiska. Potrzeba do tego tylko trochę chęci do oświecania się, pewnego planu w pracy.

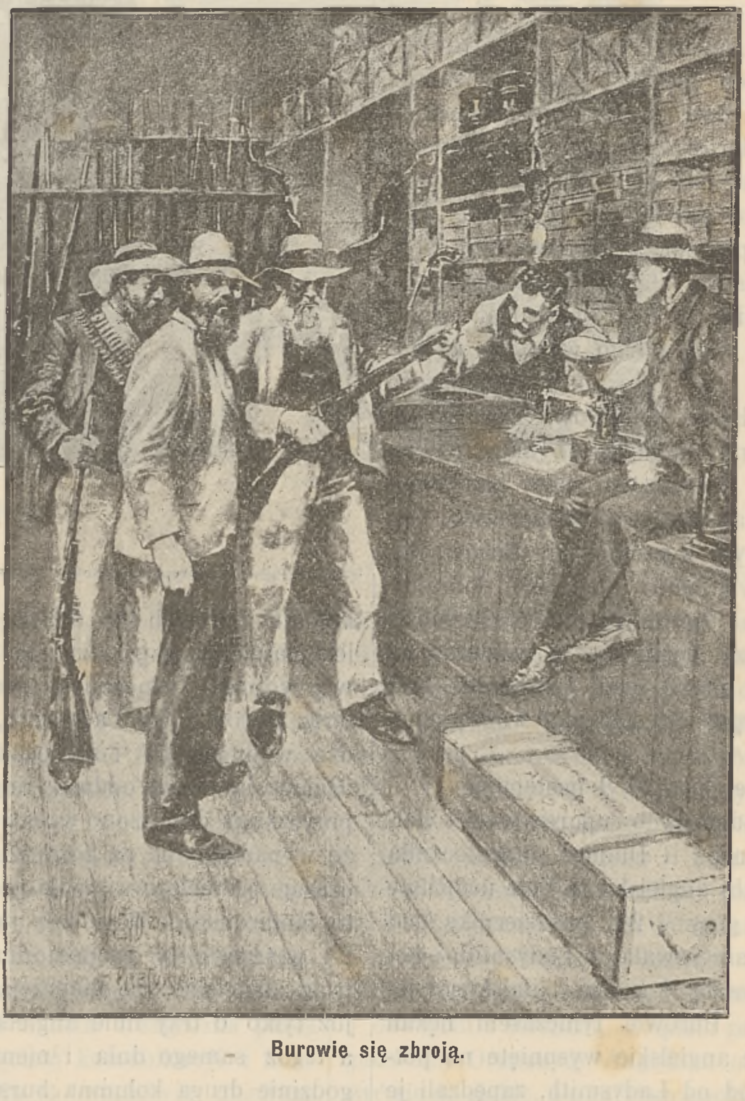
M. Malinowski.

Klęska Anglików w Transwaalu.

W ręku Boskiem są losy narodów. Gdy przed kilku tygodniami donosiliśmy czytelnikom *Niedzieli* o wybuchu wojny między potężną Anglią, a malutką rzecząpospolitą chłopską Transwaalem, wówczas napisaliśmy, że chociaż Anglicy tak ogromną posiadają

armię, iż jej liczba dorównuje wszystkim Burom, to jednak świętość słusznej sprawy i gorąca miłość Ojczyzny cuda zdziałać może. Niespodziewaliśmy się jednak, że już tak szybko będzię się mogło okazać, po czyjej

nicy wzdłuż linii kolejowej, łączącej dwa miasta angielskie Mafeking i Kimberlej i na wschodniej w angielskiej nadmorskiej kolonii Natalu. Tu właśnie na wschodzie, ponieśli Anglicy w poniedziałek 30. października



Burowie się zbroją.

stronie jest przewaga wojenna. Tymczasem najniespodziewaniej, ku powszechnemu zdziwieniu całego świata, odważne wystąpienie Burów, przyniosło im zaraz na początku wojny takie zwycięstwo, iż niełatwo przyjdzie Anglikom powetować poniesione straty.

Pisaliśmy już, że wojna zaczęła się odrazu na dwóch bokach, na zachodniej gra-

ciężką klęskę. Pod miastem Ladysmith cała kolumna angielska, złożona z 42 oficerów i 2.000 żołnierzy, dostała się do niewoli Burów, a reszta korpusu natalskiego jenerała Withe musiała pospiesznie opuścić plac boju i szukać schronienia w obwarowanem mieście Ladysmith. Bitwa ta, stoczona w otwartem polu, była dla wszystkich prawdziwą



Wymarsz Burów z Pretoryi.

niespodzianką. Wszyscy bowiem, nawet najpoważniejsi jenerałowie europejscy przypuszczali, że z początku uda się Burom, których dzielność nie ulega najmniejszej wątpliwości, tu i ówdzie odnieść pewne korzyści nad rozprószonymi oddziałami angielskimi, ale pierwsza bitwa w otwartem polu musi zakończyć się zupełnym pogromem Burów, bo i wojsko ich nie jest tak wyćwiczone jak angielskie i dowódcy znajomością sztuki wojennej nie dorównują angielskim jenerałom. Tymczasem stało się wprost przeciwnie: Właśnie w kilku pierwszych potyczkach doznali Burowie porażki, a w otwartem polu odnieśli zwycięstwo, którego pozazdrościć im może najbardziej wyćwiczona armia regularna. Wnosić więc z tego wypada, że dowódcy Burów nie są znów tak bardzo gorsi od angielskich jenerałów, a także armia Burów nie zasługuje bynajmniej na lekceważenie. Zwycięstwo pod Ladysmith wystawia jej najpiękniejsze świadectwo. Czy w bitwie tej były wszystkie siły Burów, dotychczas nie wiadomo; angielskie doniesienia podają ich siłę na 16 do 18.000 ludzi; co się zaś tyczy Anglików, to wiadomo na pewno, że w bitwie pod Ladysmith brał udział cały korpus natalski pod wodzą jenerała White.

Przebieg tej bitwy był następujący:

Po czterodniowych uporczywych walkach pod Glencoe i Dundee, uskuteczniła brygada jenerała angielskiego Yule uciążliwy odwrót przez góry i 26. października nad wieczorem wmaszerowała do Ladysmith i połączyła się z resztą korpusu natalskiego jenerała White. Burowie tymczasem nękali przednie straże angielskie wysunięte na północ i na zachód od Ladysmith, zapędzali je coraz bardziej ku temu miastu i ścieśniali półkole, którem otoczyli to główne obozowisko angielskie. W czasie tych utarczek forpocztowych, połączyły się nadciągające od północy wojska Transwaalu z posuwającemi się od zachodu wojskami republiki Orańskiej, czemu Anglicy czy nie mogli, czy też nie umieli przeszkodzić. To połączenie się obu kolumn burskich w obliczu nieprzyjaciela, jest najpiękniejszym czynem w dotychczasowej wojnie. Połączonemi siłami zbliżali się teraz Burowie ku Ladysmith, bijąc po drodze w dniach 27. i 28. października zagradzające im drogę oddziały angielskie. O tych potyczkach donoszono wprawdzie z Londynu, że wypadały one na korzyść Anglików, tymczasem późniejsze wypadki pokazują, że była to fanfaronada. W sobotę już bowiem, t. j. 28. października po południu, doniosły patrole angielskie, że nieprzyjaciel pojawił się już tylko o trzy mile angielskie od miasta, a tegoż samego dnia i niemal o tej samej godzinie druga kolumna burska zajęła silną pozycyę już tylko o $2^1/_2$ mile od Ladysmith i zatoczyła działa pozycyjne na górze Lombards-Kop, dominującej nad miastem.

W niedzielę 29. października, wysłał jenerał White przeciw tym pozycyom burskim pięć batalionów piechoty, trzy pułki jazdy, cztery bateryе górskie i oddział ochotników natalskich z poleceniem zdobycia bateryj nieprzyjacielskich. Oddział ten jednak po kilkogodzinnej kanonadzie, nie próbując nawet szturmu na niedostępne pozycye Burów, powrócił do głównej kwatery. Mimoto, jeszcze w niedzielę wysłano z obozu angielskiego do Londynu fałszywą depeszę, donoszącą, że Burów spędzono jakoby z ich niedostępnych pozycyi na Lombards-Kopp. Tymczasem właśnie w niedzielę, położenie Anglików stało się bardzo niebezpieczne przez to, że trzecia kolumna boerska, t. j. wojska orańskie, zbliżyła się również na odległość dwóch do trzech mil angielskich od miasta i zagroziła przez to Anglikom odcięciem komunikacyi z miastem Colenso. Było to właściwie pierwsze ważne wystąpienie Orańczyków, którzy do tej pory stali przeważnie bezczynnie koło Besters i których nawet zaczęto podejrzywać, że prowadzą tajne rokowania dyplomatyczne z Anglikami. W niedzielę też zaczęli Burowie ostrzeliwać miasto z trzech stron. Jenerał White ujrzał się jak w kleszczach, gdyż tylko drogę na południe ku Colenso miał wolną. Postanowił przeto rozerwać ten pierścień i dał rozkaz do wykonania nazajutrz ogólnego ataku na zachód, północ i wschód. Wstępem do tej operacyi miał być nocny napad na stanowiska Orańczyków.

O godzinie 11 w nocy, wyruszył batalion strzelców irlandzkich, pułk Gloucesterski i jedna baterya górska i jeszcze podczas ciemności nocnych dotarł do stanowisk Burów. Ten nocny atak był całem nieszczęściem Anglików. Orańczycy, znający się bowiem wybornie na nocnem prowadzeniu wojny i oswojeni z terenem, urządzili zasadzkę. Oto pozwolili Orańczycy Anglikom nietylko zbliżyć się do siebie, ale całkiem spokojnie przejść przez ich obóz, a dopiero potem osaczyli ich i zaatakowali ze wszystkich stron. W zamięszaniu, jakie teraz powstało, spłoszyły się muły, wiozące armaty angielskie i popędziły w sam środek obozu nieprzyjacielskiego, gdzie je schwytano wraz z armatami. Anglicy po krótkiej walce, widząc, że nie ma dla nich ratunku, złożyli broń i oddali się w niewolę.

Taki los spotkał lewe skrzydło wojska angielskiego. Cokolwiek lepiej poszło prawemu pod wodzą jenerała Freencha. O świcie zaatakował ten oddział pozycye Burów na górze Lombards-Kopp, spędził nawet ich wysuniętą linią tyralierów, ale do bateryj ustawionych na górze nie mógł się zbliżyć. Przeciwnie, po tym pierwszem małem powodzeniu, musiał wnet uskuteczniać w popłochu odwrót, gdyż Burzy przeszli z obrony do ataku i zapędzili Anglików napowrót do miasta. Co robiła w tym czasie środkowa kolumna angielska, dowodzona przez samego White'a, niewiadomo dotychczas. Na każdy sposób wynik bitwy jest ten, że Anglicy są zamknięci w Ladysmith i mają tylko jedną drogę odwrotu na południe, a Burowie dominują nad miastem i niezawodnie je dalej bombardować będą.

Wiadomości z ziem polskich.

* Na wiecu w Witkowie, odbytym przed kilku dniami, przemawiał między innymi także gospodarz Grabiński z Małachowa — Szemborówka. Kiedy przed wiecem zażądano od niego, aby mowę, którą ma wygłosić, przedłożył wprzódy na piśmie, oświadczył, żeby mu było trudno ją spisać, gdyż woli mówić z pamięci to, co mu właśnie na myśl przyjdzie. Jakoż mówił tak od serca, że jego towarzysze włościańscy wpatrywali się w niego, jak w słońce, dumni, że mają w swym gronie urodzonego mowcę. P. Grabiński oświadczył imieniem stanu włościańskiego polskiego, że go niewymownie boli, iż naukę języka polskiego bezwzględnie ze szkół wydalono. Za pamięci mowcy dobrze działo się w szkole. Pierwsze lata uczono wyłącznie po polsku, a dopiero gdy się młodzież w ten sposób rozwinęła, uczono także po niemiecku. Mowca wyszedł z takiej szkoły i źle na tem nie wyszedł ani on, ani państwo. A teraz? Wszystko w szkole po niemiecku, dziecko z wykładu nic nie rozumie, nauczyciel się męczy napróżno. Dziecko ma szkodę, nauczyciel ma szkodę, szkodę mają rodzice i duszpasterze. Mowca objaśnia to bliżej. Nauczyciel ma szkodę, bo się męczy i mozoli, a gdy się dość nazłości, wtedy dzieci katuje. Mimo to nie osięga jego nauka żadnych skutków. Nauczyciel mówi z dziećmi jak kura z kaczkami! Tak, jak kaczęta, wysiedzone przez kurę, nie rozumieją później jej gdakania, tak dziecko polskie nie rozumie obcych dzwięków mowy nauczyciela. O ile łatwiejsze miałby on zadanie, gdyby mógł dzieciom wykładać naukę w ich języku ojczystym! Tak, jak jest obecnie, dziecko uczy się, czyta, śpiewa, ale nic z tego wszystkiego nie rozumie. Dość powiedzieć, że dziś dzieci nasze wchodzą do szkoły osłami, a wychodzą z niej wołami! Gdy wyjdzie ze szkoły, nie umie ani po polsku, ani po niemiecku, nie umie do rodziców listu napisać, a jest przy tem tak źle wychowane, że nie umie nawet uszanować rodziców, nie powie już do nich: »Ostańcie z Bogiem« lub »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, bo dzisiejszej szkole te nabożne, staropolskie pozdrowienia się już nie podobają. Taką mają szkodę dzieci i rodzice. I duszpasterze mają przez to wielką szkodę. Dzieci tak są przez szkołę zaniedbane, że gdy przyjdą na naukę Sakramentów św., to ksiądz zupełnie musi zastępować nauczyciela i uczyć dziecko najpierwszych początków religii i języka polskiego. A co jest dalej powodem późniejszych złodziejstw, włóczęgostwa, popadnięcia naszej młodzieży w sieci socyalistów? Oto nic innego, tylko brak nauki języka polskiego i lichej nauki religii.

Z Rady państwa.

Szóste posiedzenie Izby poselskiej, odbyło się 28. października. Jak zwykle rozpoczęło się od odczytania całego szeregu in-

terpelacyj i wniosków. Poseł Borkowski prosił o wybór komisyi, którąby zajęła się obmyśleniem środków przeciw zarazie bydła.

Poseł Schönerer powiedział, że zarządzenie wyborów do delegacyj wspólnych dowodzi, iż obstrukcya przestała być niebezpieczną, domaga się więc, aby prezydent oddał posłom pulpity, które niegdyś były umieszczone przed ich siedzeniami, a które im zabrano, aby nie stukali. (Wesołość).

Po mowie Wolfa, który usiłował nie dopuścić do wyborów delegacyj, rozpoczęło się głosowanie na członków delegacyj wspólnych. Z posłów galicyjskich do delegacyj zostali wybrani: pp.: Eugeniusz Abrahamowicz, Sokołowski, Popowski, Jędrzejowicz, Ohrymowicz, Dzieduszycki i Jaworski. Jako zastępcy posłowie Sokołowski i Roszkowski.

Po wyborach do delegacyj, minister spraw wewnętrznych, dr. Koerber, odpowiedział na interpelacyę w sprawie zachowania się starosty w Przerowie podczas demonstracyj, oraz w sprawie rozruchów w Holeszowie. Minister odpowiedział, że rozruchy w Holeszowie były zorganizowane, że rząd postara się im na przyszłość przeszkodzić i że szkody wyrządzone mieszkańcom będą pokryte. Pod koniec posiedzenia poseł Schönerer stawia wniosek o rozwiązanie Izby i rozpisanie nowych wyborów. Wniosek ten wywołał wielki śmiech w Izbie. Głosowało za nim tylko 3 posłów. Na tem przewodniczący zamknął posiedzenie.

Następne siódme posiedzenie odbyło się z powodu świąt i Dnia Zadusznego, dopiero w poniedziałek 6. listopada. Całe to posiedzenie wypełniła rozprawa nad dwoma postawionymi wnioskami: posła Daszyńskiego o zupełne zniesienie §. 14. i posłów Kaisera i Pergelta, zmierzających tylko do ograniczenia §. 14. W ciągu rozprawy przemówił także prezydent ministrów hr. Clary i oświadczył, iż rząd sprzeciwia się obydwu wnioskom, ale zaznacza, że w działaniu swem nie przekroczy granic zakreślonych przez konstytucyę. Imieniem Koła polskiego zabrał głos dr. Milewski i oświadczył, że dokładne oznaczenie stopnia w jakim ma być ten paragraf stosowany i zakresu spraw, do jakich wolno go stosować, jest wprost koniecznem. Koło polskie będzie zatem głosować za wnioskami posłów Pergelta i Kaisera, jednakże przeciw wnioskowi p. Daszyńskiego. Jakoż przy głosowaniu upadł wniosek p. Daszyńskiego, chociaż oświadczyła się za nim większość absolutna obecnych w sali posłów. Stało się to dlatego, ponieważ w sprawie tej, jako w sprawie o zmianę obowiązującej konstytucyi, wymagana jest większość dwóch trzecich głosów, a takiej nie było. Następnie przyjęła Izba jednomyślnie wniosek p. Pergelta i towarzyszy o zasadniczą zmianę §. 14.

Na wniosek posła Bilińskiego, uchwalono wybrać dla tej sprawy komisyę złożoną z 48 członków.

Na tem zamknięto posiedzenie.

Z TYGODNIA.

Generalny prokurator we Francyi rozporządził stawienia przed sąd stanu 15 osób z liczby spiskujących na republikę. Jest to liczba większa, aniżeli się spodziewano. Do niej należy naturalnie w pierwszej linii Deroulède (Deruled) i Juliusz Guerin (Gerę), którego to oblegano w domu przy ulicy Chabrol (Szabrol) w Paryżu. Proces o zdradę stanu rozpoczął się w dniu 6 listopada, jeszcze przed zwołaniem parlamentu francuskiego. Zapewne obecnym ministrom na tem zależy, ażeby oskarżeni zostali zasądzeni przed rozpoczęciem się parlamentu, gdyż przeczuwają, iż wtedy może szybko nastąpić ich upadek. Obecny minister wojny generał Galifet zaprowadza różne zmiany w armii francuskiej. Na ostatniej radzie ministeryalnej przedłożył dekret, który zmienia organizacyą najwyższego sądu wojennego: w przyszłości tenże sąd ma się składać z oficerów, którzy w razie wojny byliby komendantami armii.

Najnowsze wiadomości z południowej Afryki donoszą wprawdzie o zwycięzkich potyczkach wojsk angielskich z Burami, lecz nikt w nie niechce wierzyć, przeciwnie słychać, że z powodu bombardowania Ladysmith i Colenso, baterye angielskie broniące przejścia przez most na rzece Tugela, zmuszone zostały przez Burów do milczenia a znajdujące się tam wojska angielskie do bezzwłocznego odwrotu. Prawdopodobnie dostał się umykający oddział angielskiego wojska w ręce Burów. W Londynie rozchodzi się pogłoska, że zapasy żywności i amunicyi wojska angielskiego w Ladysmith są już prawie wyczerpane a o nowem zaprowiantowaniu nie ma nawet co myśleć.

Nowiny i rozmaitości.

— **Aresztowanie księdza**. W Nieświeżu, na Litwie, w ostatnich dniach aresztowano księdza D. Młody duchowny oddawał się w ostatnich czasach spełnianiu swych obowiązków z nadzwyczajną gorliwością, surowo przestrzegając rozdziału swej owczarni od prawosławnej. Nie pozwalał on służącym przyjmować obowiązków u Rosyan, zabraniał nabywania obrazów świętych, malowanych przez prawosławnych, a jeśli zobaczył u którego ze swych »spółwyznawców taki obraz, zrywał go ze ściany. Aresztowany ksiądz wywieziony został i osadzony w klasztorze, w gubernii witebskiej«.

— **Usuwanie się góry**. Największą wieś w Galicyi, Żabie, zamieszkałą przez Hucułów, nawiedziła straszna katastrofa. Oto usuwa się, a po części już się usunęła jedna z gór we wsi leżących. Jest obawa, że przez to usunięcie się góry, zasypane zostanie koryto większej rzeki górskiej Czeremoszu, przepływającej przez Żabie. Woda rzeki nie mogąc dalej płynąć, utworzy jezioro zalewając na zawsze grunta biednych Hucułów. Straszne rzeczy tam się dzieją. Oto, co opowiada naoczny świadek. U stóp góry, przed zawalonym do połowy mostem, stało kilku hucułów, a wśród nich młody żydek z obwiązaną twarzą. Przewodnik mój, właściciel kilku morgów gruntu na górze, zbliżył się do owego żydka i zawiązała się między nimi krótka rozmowa. Chodziło o siano, które żyd kupił kilka dni temu, którego jednak teraz, wobec rozwalonej góry, odebrać już nie mógł. Huculł ofiarowywał zwrot ceny kupna, to jest 24 zł., lecz zmyślny kupiec odrazu zlikwidował sobie stratę z powodu niedotrzymania umowy i żądał zwrotu już nie 24, lecz 30 zł. Po dłuższym targu żyd zgodził się na 26 zł. i w ten sposób sprawa została ubitą. Udaliśmy się teraz na górę. Zdala już widać było ludzi, zajętych skrzętną pracą. Na zapadniętem, pełnem bruzd i szczelin ziemniaczysku, krzątały się kobiety, ocalając resztki ziemniaków, które można było jeszcze z ziemi wydobyć. Nieopodal, w miejscu, jeszcze niepopękanem, gromadka włościan ustawiała kopice siana, zgromadzonego tu naprędce z całej góry. Wyżej znów pracowano pilnie około ustawienia i umocnienia chaty, przeniesionej tu w ciągu minionej nocy z miejsca, na którem groziło jej zupełne zawalenie. Podszedłem ku tej chacie, chcąc przyglądnąć się jej bliżej. Porysowana dokoło ziemia, nie zapowiadała i tu bezpiecznego schronienia. Wieśniacy na mój widok przerwali pracę i sami zaczęli opowiadać głosem dławionym przez łzy połykane, smutne dzieje ostatnich dni. Kilka nocy już nie kładli się spać, nie pewni, co im jutro przyniesie. Pod stopami usuwała się im ziemia, chaty chyliły się ku rzece, przejmowała ich trwoga nietylko o mienie, ale i o życie. Jeden z nich, starzec siwowłosy, opowiadał mi, że na zbudowanie chaty zaciągnął dług 100 zł. — teraz już chaty nie ma, dług pozostał. Inny, z twarzą zeschłą i wyżółkłą, żalił się, że od kilku lat złożony chorobą, nie wychodził zupełnie z chaty, teraz nie ma dachu nad głową, a jednak trudno mu opuścić te miejsca. Wodzi po nich załzawionem okiem, powtarzając z rezygnacyą: *Hospod' Boh wziau!* Jakaś kobieta opowiada mi z płaczem, że nawet ziemniaki, które miała przechowane, pochłonęła jej zapadająca się ziemia. Innym znów zaginęła gdzieś w górach *marzena* (bydło). Wszystkich tych ludzi ogarnia rozpacz, zupełnie zrozumiała wobec tego, że stracili niemal wszystko, co posiadali, że klęska, która ich nawiedziła, jest gorsza, dotkliwsza nawet od ognia i powodzi. »Nie zostaje nam nic — powiadają — jeno wziąć torbę i kij żebraczy i iść w świat.«

— **Zarząd główny krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej** uzupełnił w miesiącu październiku b. r. 31 czytelń

w miejscowościach: Mikuszowice (powiat Biała), Pierzchów, Kamionna, Kobyle (Bochnia), Bogumiłowice, Biadoliny radłowskie, Wola Przemykowska, Paleśnica (Brzesko), Szczucin, Olesno (Dąbrowa), Lipnica wielka, Gródek, Kaclowa, Cieniawa, Wojnarowa, Siołkowa, Ptaszkowa (Grybów), Konty, Kołaczyce (Jasło), Majdan (Kolbuszowa), Smolarzyny (Łańcut), Zbyczyce, Łyczana (Nowy Sącz), Maruszyna, Sromówce wyżne (Nowy Targ), Wiewiórka (Pilzno), Ropczyce, Wiśniowa (Strzyżów), Stale, Mokrzyszów (Tarnobrzeg), Sporysz (Żywiec). Ogółem przesłano w październiku do czytelń 1.147 książek, wartości 455 zł. 70 ct.

— **Brak robotników rolnych.** Z powodu silnej emigracyi włościan z Nowo-Sądeckiego powiatu, panuje w dworach brak robotników, zwłaszcza obecnie w porze wykopywania ziemniaków i buraków. W Zbyszycach zaś położenie jest tem gorsze, że mnóstwo włościan z tej wsi odsiaduje kary więzienia za rozruchy antysemickie, które tam właśnie wzięły początek. Wskutek tego prezes Rady powiatowej, p. Głębocki, właściciel Zbyszyc, mając jeszcze kilka tysięcy korcy ziemniaków i buraków do wykopywania, w braku robotników zamówił za pośrednictwem starostwa z zakładu karnego dla mężczyzn we Lwowie 100 więźniów i dostawiono ich koleją ze Lwowa do tamtejszego starostwa z kilkunastoma dozorcami na czele.

— **Pożary.** Czytelników naszych musiało to uderzyć, iż nie ma jednego numeru *Niedzieli*, w którymby nie było wyliczonych kilka przynajmniej pożarów. Nie ma na świecie kraju, w którymby było stosunkowo tyle pożarów co u nas. Oto nowy spis: W Winnikach, pod Lwowem, zniszczył pożar 28-go października popołudniu znowu domy 6 gospodarzy z całym zbiorem tegorocznym, z których zaledwie połowa była zabezpieczona. W ogniu stracili niektórzy biedacy i pieniądze w gotówce. Jak zwykle, tak i w tym wypadku ratunek był niedostateczny. Dyrektor fabryki tytoniu, wysłał do pożaru dwie sikawki. Jeden z pogorzelców pozostał tylko w koszuli — wszystko stracił. Przyczyna pożaru: porzucony niedopałek papierosa przez niedorostka. — Podajemy następnie urzędowe daty o rozmiarze klęski w Drohowyżu. Pożar spowodowało dwoje dzieci, które pod stożkiem siana piekły kartofle. Spłonęło 130 gospodarstw, 141 rodzin (700 ludzi) pozostało bez dachu i chleba, gdyż cały plon jesienny poszedł z dymem; szkoda wynosi 91.000 zł., z czego tylko 40.000 zł. pokrywa asekuracya. Gospodarstw ubezpieczonych było 106, największa szkoda dotyka towarzystwa »Slavia« i »Dnister«. Ludzie pozostali bez chleba, bydło bez paszy. Z pierwszą pomocą pospieszył zakład drohowyzki i magistrat mikołajowski. Wydział powiatowy udzielił chwilowego zasiłku na zakupno paszy dla bydła, zapomoga od Wydziału krajowego jest zapewniona. W Mikołajowie zawiązał się komitet ratunkowy. — W Wełdzirzu koło Doliny, spaliło się z dnia 24. na 25. października czternaście chałup. Spaliła się także propinacya. Wicher podczas pożaru był straszny. — Cała wieś »Sełuk-Sełο«, położona pod Stryjem, spłonęła. — Spaliło się w Jasienicy koło Drohobycza w niedzielę 46 zabudowań gospodarskich, 86 sztuk bydła rogatego i 6 par koni. — W Ustrzykach koło Chyrowa, spłonęło przeszło 40 domów ubogiej ludności żydowskiej. — Spłonęło dziewięć gospodarstw włościańskich w Podhorodyszczu koło Bóbrki, z tych osiem było ubezpieczonych. W tej samej okolicy spaliły się 3 gospodarstwa w Dźwinogrodzie, wszystkie ubezpieczone.

— **Uwięzienie adwokata.** Do sądu karnego w Stanisławowie, odstawiono adwokata z Delatyna dr. Boreckiego i jego pomocnika. Obaj są oskarżeni o haniebne oszukiwanie okolicznych włościan.

— **Złota gorączka.** Parowce »Strathcona« i »Gasca« przypłynęły świeżo do Europy z 57 ludźmi, pozostałymi z nieszczęśliwej wyprawy do Dawson w Kanadzie, gdzie miano odkryć pokłady złota. Byli oni niemal dwa lata w podróży, i opowiadają o niemożliwości dostania się tam tą drogą, którą wybrali. Z polecenia rządu kanadyjskiego, wysłały towarzystwa handlowe zatoki Hudsońskiej wyprawy do ratowania setek ludzi, znajdujących się w kotlinach rzek Liard i Pelly. W ciągu ostatniej zimy zmarło 50 osób na szkorbut, a drugie tyle utonęło. Droga, którą puścili się nieszczęśliwi do Davson, t. zw. »Edmontou Trail« jest nie do przebycia. Mimo tego ogłaszali ją w dziennikach niesumienni agenci spółek handlowych, jako łatwą do przebycia, to samo głosili o niej kanadyjscy urzędnicy. Tej złotej gorączce ulegli też pomiędzy innemi i chłopi galicyjscy, z których wielu powędrowało do Kanady.

Korespondencya „Niedzieli".

Otrzymaliśmy od naszego czytelnika list z bardzo ważnem zapytaniem, dlatego przytaczamy go prawie w całości, opuszczając tylko początkowy i końcowy ustęp i serdecznie dziękujemy szanownemu autorowi listu za piękne słowa podzięki i zachęty, zawarte w tych ustępach.

Oto dosłownie rzecz, o którą się p. H. rozchodzi.

Maliczkowice, dnia 19. października 1899.

Szanowna Redakcyo!

Od jakiegoś czasu p. redaktor umieszcza odpowiedzi na różne pytania i tym sposobem robi nam czytelnikom wielką pod każdym względem wygodę.

My chcemy się p. redaktora zapytać skąd możnaby sprowadzić najlepsze sukno na bundę, burkę, lub pokrycie kożucha. Nasi czytelnicy różnie o tem radzą, a każdy z nas nie wie jakim sposobem możnaby się zaopatrzyć w dobre na zimę odzienie. My tu pod Lwowem wszyscy zaopatrujemy się w odzienie z tandety; ale pożal się Boże wyrzucony grosz na marne, bo człowiek ledwie rok w tem odzieniu przechodzi, a potem musi sprawiać nowe.

Jeden z członków czytelni, który czyta także ruską gazetę *Narodną Czasopyś*, radził nam, aby sprowadzać sukno z fabryki Oblaka i podał nam adres taki: Wincenty Oblak, w Grazu, Murgasse nr. 8. Także na dowód, że fabryka ta ma sukna »Loden« w najlepszym gatunku, podobne do domowego wyrobu, przeczytał nam dwa numery tej gazety z początku tego miesiąca. Ale czy w tem nie jest jakie oszukaństwo, aby tylko grosz od ludzi wyciągnąć?!

A zresztą człowiek ma do swoich największe zaufanie i do nich się w takich wypadkach udaje. Proszę więc w imieniu wszystkich, którzy chcą sukno z tej fabryki sprowadzać, aby p. redaktor napisał nam w swej gazecie: czy ztamtąd sprowadzać to sukno; czy fabrykant sumienny; czy daje jaką zniżkę przy większych zamówieniach; jak tam ma się pisać i w jakim języku; czy to prawda, że stamtąd najlepsze sprowadzają sukno i czy jest co p. redaktorowi o tej fabryce wiadomem?

Tym sposobem nie jeden sprowadzi sobie z tej fabryki sukna podobnego do domowej roboty i do tego mocnego i będzie w duchu błogosławił p. redaktora, że dobrze mu poradził.

Jeszcze raz mówię, że tandeta nic nie warta; a chcąc w sklepie kupić, to człowiek na suknie się nie rozumie i żyd może człowieka dobrze naciągnąć.

Augustyn Hurkasiewicz.
gospodarz z Maliczkowic.

Ot! gdyby tak wszyscy obywatele kraju postępowali, gdyby się wszyscy namyśleli dobrze, nim co kupią na żydowskiej tandecie, lub nim co sprowadzą z zagranicy, toby i u nas przemysł stał nieźle i nie byłoby połowy z tej sławnej nędzy galicyjskiej. Co do tandety, to już szanowny autor listu sam się o niej bardzo dobrze wyraża, nauczony zapewne smutnem doświadczeniem własnem, albo najbliższych.

Co zaś do fabryki sukna, zwanego Loden, p. Oblaka w Gracu, rzecz się tak ma. Przedewszystkiem takich fabryk jest w Austryi więcej, nie tylko jedna. Następnie sukno »Loden« jest bez wątpienia bardzo dobre i stosunkowo nie drogie; naturalnie nie jest ono takie świetne, jak to opisują ogłoszenia. O tem, aby nie było nieprzemakalne, to i mowy nie ma, ale — złe nie jest.

Ale pocóż nam tak daleko szukać i to obcych wyrobów i Niemcom posyłać grosz ciężko zapracowany. Toż u nas w kraju można się krajowym wyrobem bardzo dobrze ubrać. Najpierw jest wiele wsi u nas, gdzie wyrabiają domowe sukno; te wyroby są wprost znakomite, nie do zniszczenia. Będąc raz w takiej okolicy, kupiłem sobie kapotę już gotową i dałem we Lwowie przerobić na burkę; coś tak mocnego i ciepłego jeszczem nie miał i kolor jest bardzo ładny: ciemnobrunatny. Gdyby jednak w okolicy Maliczkowiec takiej wsi nie było, albo gdyby się nie dało sprowadzić większej ilości sukna, to mamy w Białej kilka fabryk sukna. Ale ponieważ te są po największej części w rękach Niemców, to podajemy adres polskiej fabryki

sukna wprost znakomitego. Zamówienia można robić pisząc do »Fabryki sukna w Łańcucie (Rakszawa)«, albo »Bazar krajowy we Lwowie, ulica 3-go Maja«.

Redakcya.

Rady doświadczonego gospodarza.

(Ciąg dalszy.).

Siew i jego bronowanie.

Sieje się od ręki, albo wtyka się ziarna w ziemię; albo rozsiewa się za pomocą siewnika szerokorzutnego lub rzędowego. Siejąc którym kolwiek sposobem, uważać na następujące przepisy.

1. Biorąc się do siewu uważać musi by przeznaczoną wysiał ilość nasienia i żeby je wszędzie jednakowo na roli rozrzucił.

2. Grubego ziarna brał w rękę więcej, miałkiego mniej, a innego tylko trzema palcami; rzucać je za każdym lub tylko co dwa kroki, albo ułożyć swe kroki według wielkości ziarn nasienia. Drobne ziarno jak n. p. mak, koniczyna, i t. p. miesza się niekiedy z suchym piaskiem, i z tym się sieje, Do siewu bierze się nasienie.

a) Całą garścią, przy podwójnym kroku, siejąc n. p. esparcetę; postępuje się krokiem zwyczajnym, siejąc pszenicę, żyto, owies, jęczmień, konopie, len, groch, wykę, soczewicę, bób, hreczkę.

b) Bierze się nasienie czterema palcami siejąc, koniczynę, lucernę, lniankę, rzepak, madyję i nasiona traw.

c) Bierze się w końce trzech palców czyli szczyptą siejąc mak, rzepę i t. p.

3, Jeżeli rola zorana jest płasko, nie w zagony, trzeba laskami wyznaczyć przedziały, zasiewać się mające.

4. Wtyka się ziarna ręką w rolę wtedy, gdy rośliny stać mają rzędami i w równej od siebie odległości, by je później można było wygodniej okopywać płużkiem, jak buraki, kartofle.

5. Używa się do siewu siewników, by regularniej nasienie po roli rozdzielić, oszczędzić jego ilość, i żeby dogodniej było potem dalsze roboty około jego uprawy wykonać. Nadewszystko korzystne jest użycie siewnika rzędowego do rzepaku, kiedy się tego większą ilość sieje, a wtedy wyłożony koszt na sprawienie siewnika rzędowego prędko i sowicie się wynagrodzi. W Anglii używają już od dawna przeważnie siewnika rzędowego do wszystkich nasion zboża, które później okopują i t. p.

6) Rozmaitymi sposobami przykrywa się posiane nasienie. I tak: jarzyny, n. p. owies, bób, groch, i t. p. na lekkim, łatwo wysychającym gruncie, a oziminy na lekkim gruncie, w którymby łatwo wymarznąć mogły, przyorują się, czyli sieją pod skibą. Zdarzają się okolice w których według różnego stanu powietrza w ciągu roku, jużto płytki już głęboki siew ucierpi. Na takim gruncie trzeba połowę siać głęboko a drugą płytko, to jest jedną pod skibą a drugą pod broną; Na tęższych gruntach, tudzież na wszelkich glinach, zwykle zawłóczy się nasienie broną, a niektórzy, zamiast broną, pokrywają je eksterpatorem. Miałkie nasiona wymagające lekkiego pokrycia ziemią, jakiemi są n. p. mak, koniczyna, przykrywają się za pomocą walca lub bardzo lekkiej brony, którą wtedy przewróconą przeciągać można.

7) Drobne nasiona jak rzepak, mak, koniczyna, lucerna, len, konopie, i t. p. sieją się na rolę lekko broną zrównaną. Ten sposób jest dobrze zastosować i do innych nasion, by się równo po roli rozdzieliły.

8) Grube a zwolna kiełkujęce nasiona przykryć trzeba ziemią głębiej. Na wilgotnym ciężkim gruncie nasiona płyciej powinne być przykryte.

9. Wałkowanie, dla większej części jarzyn, jest bardzo pożyteczne, a szczególnie dla jęczmienia i dla prosa, przeto się dłużej wilgoć w ziemi zatrzymuje i nasienie równiej kiełkuje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bronisław Sługocki.

Korespondencya Administracyi.

— *Urbański Karol, Popowiec, p. Przemyśl.* Prenumeraty od 1. listopada b. r. przyjąć nie możemy, tylko od 1. października, dlatego wszystkie numera za październik wysyłamy. Z nadesłanych przekazem 2 zł. pokryliśmy prenumeratę IV kwartału b. r. i 3 kwartały w r. 1900.

— *Śmietański Jan, Koropiec.* Nadesłanym przekazem 1 zł. pokryliśmy prenumeratę IV kwartału b. r. i I kwartał roku następnego. Numera od 1. października równocześnie wysyłamy.

— *Cudziewicz Alojzy w Łuce małej.* Kalendarza w kredyt nie wysyłamy. Prosimy nadesłać przekazem 25 ct., a odwrotnie wyślemy.

Korespondencya Redakcyi.

— *Prenumeratorowi z Mościsk.* Zupełnie się z panem zgadzamy. Nie podajemy też i dziesiątej części tych wszystkich łajdactw, jakie się na świecie dzieją. Naszym czytelnikom opisujemy tylko te, które mogą być dla nich z korzyścią, aby ich ostrzedz przed lichwą, pokątnymi lekarzami i pisarzami.

Kalendarzyk tygodniowy.

Listopad.

Uroczystości świętych:

12. Niedziela: Marcina papieża.
13. Poniedziałek: Eugeniusza.
14. Wtorek: Serafina wyznawcy.
15. Środa: Leopolda.
16. Czwartek: Otmara
17. Piątek: Salomei panny.
18. Sobota: Ottona.

Nakładem »Macierzy Polskiej«. Odpowiedzialny Redaktor: **Michał Lityński.**

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.